

kraju wystawionego od wieków na wpływy Mezopotamii. Natomiast język Jozuego i jego towarzyszy musiał zawierać wiele zapożyczeń z egipskiego. Przodkowie ich mieszkali w Egipcie około 400 lat, z czego na rządy Hyksosów wypada zaledwie 100 lat a reszta na epokę egipskiej reakcji narodowej pod rządami dynastii XVIII i XIX. W tym długim okresie potomkowie Jakuba byli wciągnięci do egipskiej machiny państwowej jako robotnicy. Nie mogło więc być mowy o jakiejś izolacji językowej. Przełożeni egipscy mówili do nich po egipsku a nie po akkadzku, który za pośrednictwem częściowo ideograficznego pisma klinowego był tylko językiem korespondencji między królami. Natomiast administracja Egiptu i całe jego życie kulturalne posługiwało się językiem egipskim, jak o tym świadczy obfite piśmiennictwo zachowane w tym języku z czasów Nowego Państwa. Byłoby niezmiernie trudne do wyjaśnienia, czemu robotnicy pracujący w Egipcie nie przyswajali sobie wyrazów egipskich, których używało ich otoczenie, a natomiast wprowadzili tak liczne zapożyczenia z języka akkadzkiego używanego jedynie do korespondencji między monarchami. Najprostszym wyjaśnieniem tych trudności będzie przypuszczenie, że ta część narodu izraelskiego, która istotnie mieszkała w Egipcie przybywszy do Kanaanu przyjęła język ludności tam zasiedziałej. Koncepcja ta jest dość bliska przypuszczeniu ks. Jakubca, że „ślady wpływów języka egipskiego na język hebrajski mogły się częściowo zatrzeć“. Zatarły się one rzeczywiście pod wpływem języka ludności podbitej, który przyswoili sobie najeźdźcy.

Kraków

TADEUSZ MILEWSKI

TRZY TYPY PROROCKIE

(Dokończenie)

III.

SW. PAWEŁ

Podczas gdy w obu dotychczas omawianych powieściach Dobraczyński śledził działanie łaski boskiej w akcie powołania człowieka do spełnienia wielkiej misji religijnej oraz w ciągu kierowania tym człowiekiem aż do chwili osiągnięcia wyznaczonego przez Boga celu, to w trzeciej powieści: „Święty miecz“ rozszerza on widnokrąg o tyle,

że odsłania przed czytelnikiem nowy aspekt, mianowicie całkowite, radykalne nawrócenie człowieka przez łaskę. Ponadto silniej jeszcze niż dotychczas uwydatnia moment zupełnego podporządkowania sobie przez Boga człowieka, wybranego na żywe narzędzie Boże. Postacią, na której Dobraczyński to działanie łaski plastycznie ilustruje, jest św. Paweł.

Osnowę powieści stanowi historia „świętego miecza“ Machabeuszów, stanowiąca wycinek z dziejów konspiracyjnych organizacji żydowskich, przygotowujących — w związku z coraz żywszymi nadziejami mesjańskimi — powstanie, celem wyzwolenia żydów spod jarzma rzymskiego. Dwaj przyjaciele, młodzi faryzeusze, przywódcy konspiracyjnej organizacji „siccarystów“, są w posiadaniu pamiątkowego miecza. Na razie trzymają to w tajemnicy. Chowają miecz w górach, w szczelinie skalnej i wiążą się przysięgą, że wydobędą go dopiero wówczas, gdy nadejdzie okazja wzniesienia mesjańskiego powstania. W międzyczasie wszakże jeden z przyjaciół przepada bez wieści, co więcej, „święty miecz“ znika z kryjówki. Pozostały „siccarysta“ (Manahem) podejrzewa, że miecz ukradł jego przyjaciel, w czym utwierdza go jeszcze wiadomość, iż przyjaciel ów stał się członkiem sekty „nazarejczyków“. Odszukuje go zatem i żąda stanowczo wydania miecza. Tamten zaprzecza, jakoby go ukradł, równocześnie jednak stara się wszelkimi siłami odwieść swego rozmówcę od jakiegokolwiek myśli o mieczu i w ogóle o walce z Rzymianami. Takim stanowiskiem ściągą na siebie tym większe podejrzenie o kradzież. Gdy nie pomagają prośby i groźby, „siccarysta“-Żyd postanawia wydobyć z przyjaciela tajemnicę skradzionego rzekomo miecza podstępem. Nasyła nań szpiega (Ariego), który całe lata postępuje za nim krok w krok, śledząc go we dnie i w nocy. Przybywa w ten sposób za śledzonym nawet do Rzymu, gdzie, celem uzyskania lepszego wglądu w sytuację, wstępuje pozornie do chrześcijańskiej gminy rzymskiej. W głębi duszy odnosi się do chrześcijan z fanatyczną nienawiścią, myśląc jedynie o zdobyciu miecza i zemście. Nadchodzi prześladowanie chrześcijan za Nerona. Szpieg wraz z innymi członkami chrześcijańskiej gminy zostaje pochwycony, wsadzony do więzienia, a nawet więcej niż inni towarzysze niedoli zbity i skatowany. Co więcej, wychodzi na jaw, że nie tylko nie jest chrześcijaninem, ale wrogiem chrześcijan, który w pewnej mierze przyczynił się nawet do prześladowania ich. Wbrew spodziewaniu, chrześcijanie okazują względem niego wyrozumiałość i prze-

baczają mu. To wstrząsa nim tak głęboko, że nawraca się i umiera jako chrześcijanin z przekonania.

Faryzeuszem-„siccarystą“, posądzonym o kradzież miecza, jest nikt inny, jak bohater powieści — apostoł Paweł.

Rzecz jasna, iż pierwszym problemem, jaki Dobraczyński musiał rozwiązać chcąc po literacku przedstawić postać apostoła, była sprawa jego nawrócenia na chrześcijaństwo u bram Damaszku. Moment nawrócenia zawiera w sobie bowiem zawsze zarodki całego dalszego rozwoju duchowego konwertyty, określa jego religijną osobowość i wyznacza kierunek jego działalności. Ale fakt nawrócenia, zwłaszcza nawrócenia tzw. nagłego, nie jest bynajmniej łatwy, ani do psychologicznego wytłumaczenia, ani do literackiego przedstawienia. Dobraczyński zdawał sobie z tego niewątpliwie sprawę i dlatego cały opis nawrócenia Szawła rozdzielił na dwie części, omawiając osobno proces psychologiczny przygotowujący chwilę pod Damaszkiem, a osobno na innym miejscu sam fakt przełomu duchowego pod wpływem przeżyć damasceńskich. Wychodził bowiem Dobraczyński z założenia, że nawet najbardziej gwałtowne i najwyraźniej pod wpływem nadprzyrodzonego czynnika dokonujące się nawrócenie nie jest nigdy zdarzeniem bez precedensu, lecz zawsze przygotowuje się w sposób naturalny drogą powolnego, choć na zewnątrz często niewidocznego procesu psychicznego, sięgającego swymi początkami nieraz daleko wstecz.

Kluczem do zrozumienia procesu przygotowawczego w nawróceniu Pawłowym, a zarazem do wyjaśnienia wiążącego się z nawróceniem nagłego przeskoku apostoła od skrajnego narodowego szowinizmu do ogólnego ludzkiego uniwersalizmu religijnego, był — według Dobraczyńskiego — fakt, iż Paweł nie tylko należał kiedyś do sekty faryzeuszów, ale że był nadto jednym z przywódców faryzejskich, uważanych przez opinię publiczną za następcę takich rabinów, jak sławny Hillel, Gamaliel, czy rabbi Jozua. To stanowisko Pawła, na tle ówczesnych stosunków wewnętrznych wśród żydostwa palestyńskiego, mówiło Dobraczyńskiemu bardzo wiele, bo:

„To był czas, kiedy wojna między sektą kapłańską a sektą uczonych doktorów wchodziła dopiero w pierwsze stadium. Jeszcze świątynia i synagoga mieściły się obok siebie, jeszcze Sanhedryn składał się z przedstawicieli obu sekt. Reforma faryzeuszów, polegająca na obaleniu kasty kapłańskiej, ogarniętej niewiarą, sceptycyzmem... żądzą złota i skłonnością do schlebiania najeźdźcom, i na zastąpieniu jej nowym kapłaństwem uczonych, doktorów... rozszerzających Torę setkami hałakk i tradycją, ta reforma dopiero wzbierała. Nie łatwo było strącić

ze stolca władzy kapłanów-saduceuszów, cieszących się łaską prokuratorów i namiestników, oraz dzierżących olbrzymie bogactwa. Do tego mógł posłużyć lud zwykły, szary, cuchnący zjełczałą oliwą tłum amhaarezów. Amhaarezów saduceusze nie potrzebowali. Wystarczyły im ich bogactwa i filozofia. Ale tłum był potrzebny faryzeuszom... Lud był ich siłą. O niego oparli, istnieli. Więc głosili, że dla niego żyją i że ich rola polega na służeniu ludowi. Dla ludu... układali tysiące przepisów. Nakazywali mu strzec się obcych bogów... Przypominali mu wciąż i wciąż niewolę Izraela...

Ale gdy wodzowie faryzejscy myśleli o reformie, która miała odrodzić cały naród, szerokie rzesze faryzeuszów nienawidziły amhaarezów równie mocno jak i saduceuszów... Paweł, wówczas jeszcze Szaweł, wyrastał na wodza, nie na zwykłego szeregowca... Niechęć i nienawiść do amhaarezów była mu obca. Faryzeim pojmował, zgodnie z naukami ukochanego mistrza Gamaliela, jako walkę o cały naród... Zbliżyć Zakon do ludzi, a... ludzi do Zakonu — takie hasło rzucił Gamaliel. I z tym hasłem na ustach młody Szaweł wędrował od synagogi do synagogi, od miasta do miasta..." (str. 91 n.).

Sympatia do amhaarezów — do szarego człowieka — przeradzająca się automatycznie w sympatię do człowieka w ogóle, człowieka jako takiego, była więc już wówczas cechą charakterystyczną Pawła, a była nią z tej właśnie racji, że należał do grupy przywódców faryzejskich, nie do szerokich rzesz faryzeuszów. Pociągało to za sobą u Pawła bardzo daleko idące konsekwencje. Sympatie Pawła ku amhaarezom zwróciły już wówczas jego uwagę na wieści krążące po Palestynie o „sławnym proroku galilejskim“, o Jezusie z Nazaretu, i poczęły w nim budzić ku temuż Jezusowi szczerą sympatię.

„Ten galilejski Prorok, który przed paru laty objął po Janie, synu Zachariasza, przywództwo ciemnych mas, nagle, na czele licznej rzeszy skierował się ku Jerozolimie. Wjechał do niej triumfalnie... zaś mrowie ludzi wybiegało Mu naprzeciw. Nie wiedziano, co Przybyły uczyni... W pierwszej chwili Jego gniew obrócił się przeciwko saduceuszom... Wśród kapłanów wrzało... poczęli wygrażać pięściami faryzeuszom. To wasz Człowiek! — krzyčeli... Szawła już dawniej zaciekawiała nowa sekta i jej Przywódca. Słuchał o Nim chętnie. Podobno galilejski Prorok był dobroczyńcą amhaarezów. To oburzało innych faryzeuszów, ale to właśnie podobało się Szawłowi. Może, myślał, Nauczyciel z Nazaret chce podźwignąć cały naród, zbliżyć go do Zakonu, a wtedy rozpocząć walkę o wolność. To odpowiadało Szawłowi. Wybierał się zobaczyć Nazarejczyka... Szaweł zastanawiał się. Buntuje lud — myślał — lecz w imię czego? A jeśli to jest Mesjasz?... I Szaweł ciągle nie wiedział, co ma o tym sądzić." (str. 92 nn.).

Ale budzące się w Pawle sympatie ku Nazarejczykowi i nadzieje na ewentualną jego rolę w przyszłości, rozwiłała wkrótce bolesna niespodzianka:

„...Wypadki toczyły się szybko, szybciej, niż mógł się w nim wykrystalizować jakiś pogląd. W noc przedpaschalną Mistrz z Nazaretu został ujęty... Rano

obudził Szawła hałas na ulicy. To Więźnia wleczono do Antonii przed trybunał prokuratora. W parę godzin później ujrzał przelotnie Nazarejczyka, jak szedł... prowadzony na śmierć... Szaweł, nie ruszając się z miejsca, śledził twarze spieszących na Golgotę ludzi. Byli to niewątpliwie ci sami, którzy przed pięcioma dniami witali Mistrza, ścieląc pod nogi Jego osła płaszcz... Ta nagła przemiana wielbicieli we wrogów zaskoczyła Szawła. Za mało znał amhaarezów, aby pojąć, że nie byli zdolni do własnego osądu... Poczęli Go nienawidzić za zawód, jaki im sprawił. ...A zdawało mu się już, że będzie inaczej! To dlatego ciskali teraz kamieniami w Skazańca... — Szaweł, powróciwszy do domu, myślał: gdyby ten Człowiek nie został ukrzyżowany, kto wie, czy nie uznaliby Go za swego Nauczyciela... Lecz skoro zginął, zginęła także słuszność Jego nauki. Nie umiera tak łatwo, tak nędznie, na początku swej drogi, wielka Idea!... Jeśli to miał być Mesjasz, to jego śmierć odkryła prawdę, że Mesjaszem nie był!..." (str. 95 nn).

Skończyłoby się może na tym bolesnym zawodzie, spowodowanym rozdziwieniem między ideą Mesjasza, bohatera narodowego, zwycięzcy Rzymian, a rzeczywistością ukrzyżowania Proroka z Nazaretu. Zawód taki spotkał zresztą nie tylko Szawła, spotkał on również wszystkich uczniów i sympatyków Nazarejczyka, nie wyłączając grupy dwunastu jego najbliższych uczniów, bo i ich ideał Mesjasza nie różnił się zrazu od ideału Pawłowego. Ale Paweł był nie zwyczajnym „amhaarezem“, nawet nie zwyczajnym faryzeuszem. Był przywódcą faryzejskim, aktywistą, „siccarystą“, żyjącym jedną tylko myślą: walki mesjańskiej o wolność, nawet gdyby w tym celu trzeba było stworzyć Mesjasza. Dlatego proces jego ustosunkowania się do ruchu chrześcijańskiego nie mógł się u niego skończyć na uczuciu zawodu, ani tym mniej na rewizji dotychczasowych poglądów na osobę i dzieło Mesjasza, pod wpływem spokojnych refleksji rozumowych, obudzonych szerzącą się wkrótce po śmierci Nazarejczyka wiadomością o jego zmartwychwstaniu. Do tego byli wprawdzie zdolni rybacy galilejscy, czy nawet celnik Mateusz — nie był jednak zdolny zapatrzony w ideę wyzwolenia narodowego „siccarysta“ — Szaweł. Wiść o zmartwychwstaniu Nazarejczyka musiała w nim wywołać i faktycznie wywołała zupełnie przeciwną niż u innych reakcję.

„Nie minęło... wiele dni, gdy Szaweł, pełen zdumienia, dowiedział się, że zwolennicy Mistrza nie tylko nie zniknęli, ale wyszli z ukrycia. Nauczają, i co więcej: porywają za sobą tłumy. Wykradli podobno... Ciało Nauczyciela i rozgłaszają, że ich Mistrz zmartwychwstał!... Szawłowi wydało się, że odkrył niebezpieczeństwo... Zaciskał groźnie dłoń na mieczu, ukrytym pod płaszczem... Szaweł zrozumiał, że kłamliwy Mesjasz zdobywa sobie już nie tylko amhaarezów, ale sięga po hellenistów i faryzeuszów. To stawało się już groźne. Wielka chwila oczekiwania na Mesjasza, gotowa rozplynąć się w naiwnym bredzeniu ciemnych Galilejczyków. Jeśli to dłużej potrwa, lud nie pospieszy za mieczem

Judy. Raczej gotów podążyć za haniebnym palem kaźni... Jego niepokój miał dość powodów, aby przerodzić się w gniew. O ile żyjący Mistrz, o mało nie pociągnął za Sobą Szawła, o tyle kłamstwo Jego Zmartwychwstania oburzyło go i odepchnęło od Niego... Mesjasz, który ma przyjść, rozważał, jest nadzieją i siłą, która rodzi nadzieję. Ale Mesjasz ukrzyżowany — to przegrana, to klęska, to pogodzenie się z najgorszym, to stan bardziej pożałowania godny, niż najdłuższe czekanie. Lepszy żyjący wódz, niż zmartwychwstały siewca słów. Nie! Nie! Można się było zgodzić na Mesjasza — przywódcę amhaarezów. Nie można się zgodzić na mesjasza — widmo." (str. 97 n.).

Przerażony myślą, iż szerząca się wiara w zmartwychwstanie Nazarejczyka, paraliżując siły bojowe narodu, może przekreślić raz na zawsze nadzieje na udanie się ruchu powstańczego, wyzwającego Izraela spod rzymskiego jarzma, Szawel postanawia działać, wytępić sektę Nazarejczyków. W tym celu bierze listy od władz synagogalnych i poczyną szerzyć terror wśród pierwszych wyznawców Zmartwychwstałego. Morduje, pali, kamieniuje. W poszukiwaniu głównego przywódcy nowej sekty zapędza się pod Damaszek. I tam przychodzi nań kryzys, kończący się radykalną przemianą: Zmartwychwstały powala go na ziemię, by powstał z niej już innym człowiekiem.

Dwukrotnie porusza Dobraczyński sprawę przełomu duchowego Pawła pod Damaszkiem; w obu wypadkach w formie odtwarzanych już po długim szeregu lat wspomnień, jaką scena damasceńska pozostawiła w umyśle apostoła. Raz, gdy Paweł przemawia do chrześcijan rzymskich na zebraniu nocnym w Ogrodach Emiliańskich, urządzonym z okazji przybycia do Rzymu Piotra — drugi raz, gdy pociesza w więzieniu nawróconego już na chrześcijaństwo, umierającego swego szpiega i prześladowcę, Ariego.

„...Na zawsze pozostała w jego pamięci ta rozpalona godzina południa... Paweł szedł zmęczony, ale gdy zobaczył przed sobą biały kształt miasta... w niepamięć poszły trudy ośmiodniowej wędrówki... Poniósł go zapał. Pod kuttoną czuł list arcykapłana. Był przecież wysłannikiem Sanhedrynu. Miał rozkaz walki z sektą czcicieli umarłego Mesjasza... W głowie układał już sobie słowa, zarządzenia, rozkazy... I właśnie wtedy, gdy pozostawiwszy w tyle towarzyszków, niepomny na skwar i palącą pod stopami glinę, szedł ku miastu, wydało mu się, że nagle roziskrzony krążek słońca, który mu wisiał nad głową, zsunął się z przeraźliwie wysokiego nieba... by paść — oślepiającym blaskiem — na drogę. Właściwie to nie było to: słońce pozostało na niebie i jego żar płonął dalej w powietrzu; natomiast na drodze przed Pawłem zapaliło się coś drugiego, niby błysk słoneczny odbity od wypolerowanej stali, bardziej jeszcze rażący oczy, niż samo słońce. Paweł każdym swym krokiem... zbliżał się do płomienistego kręgu. Ale także i światło zdawało się toczyć ku Pawłowi z coraz większą szyb-

kością... zbliżając się, rosło w siłę. Przejmujący ból dotknął oczu Pawła. Gałki oczne poczęły go piec, jakby się w nie wkręcał świder. Odruchowo zatrzymał się, zakrył dłonią twarz. Nadlatujący obłok blasku bluznął żarem w jego policzki. To było jakby uderzenie, miękkie, a przecież przemożne. Paweł zatoczył się i padł na ziemię. Straszliwa światłość była nad nim, leżała mu na twarzy, niby rozpalony do białości żelazny krąg. Próżno mrużył zbolące oczy: powieki nie były już żadną zasłoną; miał uczucie, że mógłby patrzeć przez nie. Leżąc na ziemi... zobaczył nagle w samym środku ognistego kręgu Postać ludzką... Zdawał sobie z tego sprawę, że to nie jest złudzenie, ale że Człowieka przed sobą widzi naprawdę. Umiałby opisać każdy szczegół twarzy i wyglądu Tamtego. Jednego tylko nie umiał sobie wówczas przypomnieć: skąd zna tę twarz... Nie próbował się podnieść. Leżał wyciągnięty na ziemi, zda się przyciśnięty niewidzialną dłonią. Milczał i czekał... Wtedy Człowiek w kole blasku powiedział. Jego głos był cichy, a jednocześnie tak przesywający, że Paweł każde słowo nie tylko słyszał, ale i czuł całym ciałem...

— Dlaczego Mnie prześladujesz?...

Odpowiedział pytaniem:

Lecz właściwie nie potrzebował pytać. Wiedział dobrze, kto mówi do niego.

— Kto jesteś?

Znał Go pod wieloma imionami: Jahwe, Elohim, Adonaj, Sabaoth... Leżąc na ziemi... oczekiwał... na mający nadejść Znak — Imię. Czekał. Ale kiedy głos rozległ się, młody faryzeusz zamarł w osłupieniu. Wszystkiego oczekiwał, tylko nie tego. Słowo usłyszane było zaprzeczeniem spraw, które czuł, które myślał, którymi żył. Było zaprzeczeniem samego Pawła... Przesnął oddychać, oddech zamarł mu w piersiach. Przez jakąś niepojęcie krótką chwilę wątpił, wątpił tak, jak się wątpi w chwili największej, śmiertelnej rozpacz: we wszystko i we wszystkich...

— Jam jest Jezus, którego prześladujesz...

To była klęska, klęska niewypowiedziana, przepaść, w którą nagle spadł i w której wciąż leciał i leciał nie napotykając dna. Po dziś dzień żyły w nim wszystkie bóle tamtej rozpacz. Gwałtownie wyciągnął przed siebie ręce. Głos mu się załamał, jak załamało się w nim wówczas wszystko... Miał wtedy uczucie, że leci w dół, a jednocześnie rozpryskuje się na drobne kawałki, ale to go nie unieścawia... Konał, a wciąż czuł, że żyje. Wolałby być unieścawiony, niż znośić to cierpienie. Unieścawienie jednak nie nadchodziło... Wtedy postanowił się bronić... Nie należał do ludzi, którzy zgadzają się ginąć. Skoro Jahwe przemówił ustami Nazarejczyka, trzeba było uznać w Nazarejczyku Boga wbrew wszystkiemu w sobie. Innej drogi nie było... Dlatego zapytał:

— Co chcesz, abym uczynił?

Uznał się za zwyciężonego. Ale nie uczynił najmniejszego ruchu. Dalej leżał wyciągnięty, nie próbując się podnieść. Jeżeli pytał: co chcesz, abym uczynił, to była w tych słowach nadzieja, że wpraw, zanim cokolwiek trzeba będzie uczynić, Ten, który go rzucił na ziemię, poda mu litościwą rękę.

— Wstań i idź do miasta; tam ci powiedzą, co macz czynić...

I to było wszystko. Człowiek stojący w kręgu światła wyciągnął ku Pawłowi Swe dłonie gestem wiążącego miłosierdzia. Były białe i przebite, dłonie oder-

wane od krzyża, których krwawy otwór mówił więcej, niż miliony najśodszych słów. Pawłowi wydało się, że te dłonie zbliżają się ku niemu, kładą mu się na twarz, na oczy. Pod ich dotknięciem zgasły wszystkie blaski, głowa zatonała w mroku. Nie widział już teraz nic. Nowe cierpienie jednocześnie sprawiało ból i koito go. Leżał nieruchomo... czekał..." (str. 298 nn.).

W taki sposób przedstawia sobie Dobraczyński zewnętrzną stronę faktu nawrócenia Szawła pod Damaszkiem. Jak jednak wyobraża sobie psychiczny proces wewnętrznej przemiany Szawła pod wpływem ujrzenia Zmartwychwstałego? Szawel Dobraczyńskiego opowiada o tym sam krótko ale jędrnie:

„...Jezus... uderzył mnie w serce pełne nienawiści. Oślepiłem. Ale przedtem byłem stokroć bardziej ślepy... Wiedziałem: obalił mnie Bóg... bom zawsze Bogu służył. Ale zgodzić się na to, że to Jezus jest Bogiem — to wydawało się niepodobieństwem. Myślałem: prędeż umrę, niż to uznam. Raczej wyrzeknę się Boga, a nie pójdę za Jezusem... Lecz czy ja, Żyd, Beniamińczyk, mogłem wyrzec się Boga? Bóg był dla nas w dziejach wszystkim... Myśmy zawsze tylko Bogu służyli. Wyrzec się Boga, znaczyło dla mnie odejść od narodu. Lecz przyjąć Jezusa — to było także odejście od narodu!... Miłość... walczyła we mnie z nienawiścią. Wydawało mi się, że albo muszę znieawidzić swój naród — a tego zrobić nie mogłem, albo znieawidzić Jezusa — a przecież On jest Bogiem.” (str. 321 n.).

Myśl zawarta w przytoczonym wynurzeniu Pawła występuje jasno, jeśli tylko rozważymy ją na tle stanu psychicznego Apostoła przed widzeniem damasceńskim. Tym, co wzbraniało Pawłowi uznać za Mesjasza Nazarejczyka ukrzyżowanego, była obawa o zaprzepaśczenie w ten sposób nadziei na wyzwolenie polityczne swego narodu. Ku Nazarejczykowi czuł wprawdzie sympatię, bo widział w Nim rzecznika swych własnych uniwersalistycznych marzeń o zbliżeniu się do szerokich mas szarych ludzi, do człowieka jako takiego. Ale ku własnemu narodowi czuł nie tylko sympatię, lecz miłość żywiołową, głęboką, zakorzenioną poprzez szeregi pokoleń. Rzecz jasna, że miłość musiała przeważać nad sympatią, entuzjazm nacjonalistyczny nad marzeniami uniwersalistycznymi, skoro tylko dostrzegł niemożliwość ich pogodzenia z sobą w konkretnym wypadku. Dlatego to Szawel bez żadnego wahania odrzucił, a nawet znieawidził Nazarejczyka, rzecznika sprawy amhaarezów.

Trzeba jednak pamiętać, że nacjonalizm, który w tym wypadku przeważał u Pawła, nie był zwyczajnym świeckim nacjonalizmem. Był to właściwy Żydom nacjonalizm teokratyczny. Naród izraelski uważał się i uchodził w oczach każdego ze swych członków za naród boży, przez Boga wybrany, kierowany i w przymierzu z Bogiem pozostający. W nacjonalizmie izraelskim pietyzm względem Boga był równoznac-

ny z pietyzmem względem narodu i odwrotnie. Stąd też, dopokąd Paweł uważał Mesjasza-Nazarejczyka tylko za człowieka, dotąd rozwiązanie dylematu: „z narodem przeciw Nazarejczykowi, czy z Nazarejczykiem przeciw narodowi“ — było dla niego rzeczą prostą i łatwą i bez wahania wybierał człon pierwszy. Gdy jednak nagle pod Damaszkiem poznał, że Mesjasz-Nazarejczyk to sam Jehowa-Bóg — poznanie tego rodzaju skomplikowało mu od razu całą sprawę, uczyniło dylemat wprost nierozwiązalnym, a dotychczasowe rozwiązanie go przedstawiało jako rażącą sprzeczność. Skoro bowiem Nazarejczyk jest Bogiem, to w świetle teoretycznego nacjonalizmu odrzucenie Go byłoby równoznaczne z zaprzeczeniem narodu. Odrzucając Nazarejczyka-Boga, Szawel sprzeniewierzałby się eo ipso również własnej idei teokratyczno-nacjonalistycznej. Tak więc cały punkt ciężkości w widzeniu Pawła pod Damaszkiem leżał — według Dobraczyńskiego — nie w tym, iż Apostoł ujrzał żywym tego Nazarejczyka, którego uważał dotychczas za umarłego, lecz w tym, że ów Nazarejczyk powalił go rąa ziemię, powalił w podobny sposób, jak tylko sam Jahwe powalał niegdyś swych proroków. Nie przekonanie o rzeczywistości zmartwychwstania Jezusa było dla Pawła decydującym momentem pod Damaszkiem, lecz poznanie, że Jezus jest Bogiem. To poznanie wprowadziło nagle Apostoła w ulicę bez wyjścia, zburzyło cały jego dotychczasowy sposób myślenia, wywołało w jego głowie całkowity chaos.

„...Czy pojmujecie bracia, co czułem?... Czy rozumiecie cały ten chaos myśli, jaki we mnie powstał? To tylko jedno pojmowałem dobrze: wszystko co było, musi być odwrócone. Świat mój winien stanąć na nogi, bo dotąd stał na głowie — i dłużej tak stać nie może! Lecz czy człowiek potrafi pogodzić się z tak odwróconym światem? Czy można się wszystkiego wyrzec, i tego, z czym się zrosło, i tego, czemu się służyło, i wszystkiemu zaprzeczyć? Sobie także? O bracia, to było straszne. A przecież czułem, że jestem w Ręku Żywego Boga. I że jeśli sobie nie zaprzeczę — muszę zaprzeczyć Jemu!” (str. 301).

I nic więcej. Ów chaos był — według Dobraczyńskiego — właściwie jedynym rezultatem Damaszku. Ale był to chaos twórczy, zawierający w sobie już zarodki drogi, którą się Apostoł z niego wydobył. Tylko, że wydobywanie się z chaosu, znalezienie pozytywnego rozwiązania problemu, przyszło dopiero później, po Damaszku i przyszło powoli. Zaczęło się zaś, gdy oślepli pod wpływem widzenia damasceńskiego Apostoł znalazł się w mieście, dokąd zanieśli go jego towarzysze podróży.

„Nie musiał zbytnio natężyć pamięci... Leżał wtedy zgorączkowany w domu swego wuja Judy. Nie chciał jeść, nie chciał pić. Uderzał pięściami w osłepłe, palące oczy... Drugiego dnia wieczorem wydało mu się, że w purpurowym mroku, jaki miał przed oczami, zobaczył nieznanego mężczyznę. Tamten szedł ku Pawłowi z wyciągniętą ręką. Potem położył dłoń na porażonych oczach. I znikł. Paweł... był przekonany, że to była tylko wizja, czy może gorączkowy sen, ale nie mógł oprzeć się chęci upewnienia się. Zawołał Judę. Stary nadbiegł ciężko z pytaniem na ustach. „Może chciałbyć nareszcie co zjeść?...” Niechętnie rzucił głową. „Nie! Nie! Powiedz mi tylko, czy tu kto był? Tutaj?... Nie, nie było nikogo...” Poślanie było twarde i obrzydliwie rozgrzane. Dzień wlokący się upałem... dobiegał końca. Paweł znowu modlił się... Ale choć się wysilał, modlitwa stygła na ustach... Po mrokach nocy nadszedł mrok poranku... Juda i Marta poszli do niego. Znowu go o coś pytali. Był przekonany, że pytają, czy nie zjadłby czego... „Ja to wiem, że nic jeść nie chcesz, podjął Juda, ale ja nie o to pytam. Przyszedł człowiek, który chce ciebie zobaczyć... Człowiek? Tutejszy? Tak, tutejszy. Wiesz od tych no — nazarejczyków. Chce cię widzieć. Nazarejczyk chce mnie widzieć?” O mało nie powiedział: drogo Nazarejczycy płacą za oglądanie mojej osoby. Obudził się w nim dawny, czujny Szaweł. Prawie zapomniał o chorobie. Poczuł się jak pies, który przypadkowo trafił na podniecający ślad. Usiadł na posłaniu. Usta skrzywił mu porywczy grymas. „Gdzież ten Nazarejczyk? Niech wejdzie...” Przybyły szedł od drzwi. Powiedział: „Pokój niech będzie temu domowi przez Pana naszego Jezusa Chrystusa”. Jak to dziwne brzmiało! Zbliżył się do postania Pawła... Powiedział głosem zduszonym: „Szawle, bracie... Zowią mnie Ananiaszem... a przysłał mnie Jezus... Przejrzyj!” W miarę jak tamten mówił, blask spływał w obolałe oczy Pawła... Z czerwonego mroku wyszło tysiące przedmiotów i człowiek, stojący przed Pawłem... Wyglądał na zwykłego amhaareza. Paweł poznał od razu, że jest to człowiek ujrzany w gorączkowym widzeniu. Uśmiechnął się — nagle onieśmielony. Tamten także się uśmiechając, ciągnął: „Dziś w nocy widziałem Go. Powiedział mi, bym szedł do ciebie. Bo ty jesteś Jego naczyniem wybranym i poniesiesz Jego Ewangelię do pogan, i królów, i Izraelczyków. On także ciebie pouczy, iż wiele wycierpieć musisz dla imienia Jezus...” (str. 273 nn.).

Opisując w przytoczony sposób przejrzenie Pawła w domu Judy, nie bez powodu podkreśla Dobraczyński z naciskiem szczegółów, że pierwszym ujrzanym przez Apostoła po odzyskaniu wzroku człowiekiem był „zwyczajny amhaarez”. Pragnie w ten sposób zaznaczyć, że tu właśnie był drugi, dalszy punkt w naturalnym procesie psychicznym Pawła, o który zaczęła nadprzyrodzona Łaska, nawracająca go i wskazująca mu pozytywną drogę wyjścia z chaosu myślowego, w jaki go wtrąciła pod bramą damasceńską. Idea mesjańska Pawła mieściła w sobie mianowicie, jak widzieliśmy wyżej, dwa różne aspekty: nacjonalno-polityczny i uniwersalno-demagogiczny. Pierwszy z nich wysuwał się wprawdzie zrazu tak bardzo na czoło, że przesłaniał i spychał w cień aspekt drugi, aczkolwiek go bynajmniej nie niwelował.

Dowodem na to fakt, że właśnie ów drugi aspekt pociągnął zrazu Szawła ku Nazarejczykowi. Wpatrzony jednak przede wszystkim w aspekt pierwszy, nacjonalno-polityczny, Apostoł zrazu odrzucił Nazarejczyka na widok Jego śmierci, potem począł Go nienawidzić i prześladować Jego wyznawców, a wreszcie pod Damazkiem znalazł się w ślepych zaułku i wpadł w całkowite oszołomienie, gdy nagle w Nazarejczyku dostrzegł samego Boga. Wydawało mu się bowiem, że uznanie Nazarejczyka jest równoznaczne z porzuceniem nadziei na wybawienie narodu, a więc tym samym i z całkowitym porzuceniem idei mesjańskiej jako takiej. Gdy tak szamota się w chaosie krzyżujących się myśli, nagle odzyskując w domu Judy wzrok, dostrzega jako pierwszy przedmiot widzenia postać prostego amhaareza Ananiasza, którego w wyrażnie cudowny sposób przysłał doń Pan. Ta okoliczność stanowi dla Szawła jak gdyby nagłe olśnienie, objawienie z góry; nagle staje mu w świadomości spychany dotychczas w cień drugi aspekt idei mesjańskiej, uniwersalno-demagogiczny, i zaczyna się wysuwać na czoło. Wprawdzie równocześnie z tym cały świat zdaje się Szawłowi wywracać do góry dnem: to co uważał za podrzędne, staje się najważniejsze, a to co uważał za najważniejsze, schodzi do roli podrzędnej — nie mniej jednak od tej chwili zaczyna się zarysowywać w jego umyśle nowa sylwetka Mesjasza, wykluwać nowa idea mesjańska, dająca się pogodzić z miłością zarówno ku Nazarejczykowi-Bogu, jak ku własnemu narodowi. Mesjasz to przede wszystkim Zbawiciel całej ludzkości. Rola Jego jest uniwersalna, ogólnoludzka. Zbawienie jednak całej ludzkości pociągnie za sobą w konsekwencji wyzwolenie również ludu izraelskiego. Paweł Dobraczyński mówi to wyrażnie w zakończeniu swego opowiadania o nawróceniu pod Damazkiem:

„...w końcu pojąłem. Pojąłem, że miłość do Jezusa jest miłością do wszystkiego i że nic w niej nie ginie. Bo kiedy się wszystko w niej zatopi, wszystko cdnaleźć można.” (str. 322).

Rzecz jasna, że musiało przy tym nastąpić u Szawła przetransponowanie samego pojęcia „wybawienie“ z tonacji politycznej na tonację etyczną, a to przynajmniej w tym sensie, iż wyzwolenie od grzechu i zła pojęte zostało jako główny i pierwszorzędny moment „wybawienia“ mesjańskiego, pociągający za sobą jako konsekwencję również uregulowanie spraw ziemskich, narodowo-politycznych, po linii dobra, sprawiedliwości i miłości. Dla ówczesnego faryzeusza-teokraty, uzależniającego ściśle pomyślność i siłę narodu wybranego od dochowywania wierności Jahwe, a więc od poziomu etyczno-religijnego

członków narodu, nie było takie przetransponowanie rzeczą trudną. Wszak cały faryzajm jako taki osnuty był około myśli, że jeżeli przy pomocy najdokładniejszych przepisów rytualno-etycznych podniesie poziom moralny ludu izraelskiego, wówczas Bóg wierny przymierzu ześle napewno Mesjasza, który wyprowadzi swe wybrane dzieci z niewoli pogańskiej. Przygotowanie etyczne było uważane zatem za warunek mesjańskiego wyzwolenia.

Od pierwszego przebłysku idei uniwersalistyczno-etycznej mesjanizmu do całkowitego jej skryształizowania się w umyśle Pawła, od pierwszego przełamania podnoszących się przeciwko tej idei oporów uczuciowych Apostoła, aż do ich całkowitego usunięcia — było jednak na razie jeszcze daleko.

„Lat całych trzeba było, by ta myśl w nim dojrzała. Nie łatwo było wyrwać się z kręgu marzeń mesjańskich. Ileż wymagało już trudu, aby uwierzyć, że Mesjasz jest Panem serc ludzkich. Pozostawała wiara, że On poprzez serca zdobędzie świat... nie zakończy się nigdy. Będzie trwała do ostatniego dnia... Będzie walką nie tylko ze światem, który nie słyszał o Jezusie i nie chce o Nim słyszeć, ale i ze światem, który o Jezusie usłyszał i przyjął Go — bezdusznym: „Panie! Panie!” (str. 59).

Dlatego to Paweł sam powiada:

„Jezus obalił mnie od jednego Swego spojrzenia. Ale po to, bym poszedł za Nim, bym Mu służył, musiała się toczyć we mnie walka przez długie dni, miesiące, lata...”(str. 320).

Samo nawet pojęcie uniwersalizmu ulegało u Pawła dopiero powolnej krystalizacji, przechodząc pewną ewolucję. Między połowicznym uniwersalizmem, wyznawanym przez Apostoła w okresie pierwszej podróży misyjnej na Cypr, a pełnym, bezkompromisowym uniwersalizmem, jaki go ożywiało, gdy powracał po latach do miasta świętej z trzeciej misyjnej podróży, była kolosalna różnica:

„...Sądził wtedy, że naród żydowski ma nawrócić świat. Dziś już tak nie myślał. Miał powstać naród inny, nie żydowski, nie grecki, nie rzymski, ziemią, językiem czy obyczajem nie związany, nowy naród, naród Chrystusa... To była prawda, którą uświadomił sobie wtedy, gdy padł pod kamieniami na równinie między Listrą a Derbe. Zabijano go wtedy jako zdrajcę. Ale on sobą pozostał!...” (str. 53).

Krystalizowanie się pojęcia uniwersalizmu następowało u Pawła w toku jego pracy misyjnej i w dużej mierze pod wpływem konkretnych wypadków, zaszłych w czasie tej pracy, a zmuszających Apostoła do ustawicznej rewizji dotychczasowych poglądów i wysnuwania coraz to nowych, dalszych wniosków.

Przełomowym wypadkiem, który połowiczny zrazu uniwersalizm Pawłowy począł zamieniać na uniwersalizm pełny, było — według Dobraczyńskiego — zetknięcie Apostoła już w czasie pierwszej podróży na Cypr z tamtejszym namiestnikiem rzymskim, prokonsulem Sergiuszem Paulusem, a zwłaszcza z jego córką Sergią. Rozmowa z Sergią była dla Pawła jak gdyby nowym objawieniem, nagłym zapłodnieniem jego umysłu nową zupełnie ideą, która odtąd drażyła w nim bez ustanku coraz głębiej i coraz silniej, aż dopokąd jej nie zrealizował. Zaczęło się od zaznajomienia Sergii przez Apostoła z najważniejszymi punktami jego wiary w Zmartwychwstałego Nazarejczyka.

„...Nie zadrwiła, jak drwili próżniacy ateńscy... Błądą dłonią... gładziła rulon z homerową pieśnią. „To rzeczywiście ciekawe, co mówisz, i piękne. Więc zginął dla ludzi? Dlaczego, że ich kochał? A potem zmartwychwstał? I mówił... że wszyscy zostaliśmy wezwani i wszyscy możemy być odrodzeni... że trzeba tylko wyrzec się zła... trzeba kochać i umieć cierpieć i chcieć cierpieć... Czy tak, Szawle?” Tak dostojna Sergio. Trzeba swoje cierpienia dodać do Jego cierpień...” Inaczej mówi o waszym judejskim Bogu Elymas... „On mówi — ciągnęła — że ten Jahwe jest groźny, potężny i straszny. Każe się bać siebie ludziom... Czy nie jesteście obaj Żydami?” Powiedział twardo: „Masz słusność, dostojna Sergio. Jesteśmy obaj Żydami. Ale należymy do dwóch różnych czasów. Czas Elymasa już się skończył, umarł... czas mój narodził się dopiero. Narodził się z krwi rozlanej za bramami miasta... Powstał z miłości i tylko na miłość czeka...” „Więc miłość jest w waszej filozofii wszystkim? Jeśli tak, to zwyciężyliście świat!... Zwycięzsz łatwo i prędko. Czemu jesteś Żydem!” Zmarszczył brwi. Począł żywo: „Jesteśmy starym narodem, dostojna Sergio... Chowaliśmy obietnice. A dziś — Szawle — zawołała z zapalem. Jeśli nawet twój Jezus był Żydem, to świat dla Niego musi zdobyć Rzymianin. Świat jest rzymski. Nad światem czuwa pax Romana. Świat — Szawle — patrzy na Rzym, nie na Jerozolimę...” Milczał. Wbrew sobie uświadomił sobie prawdę brzmiącą w ustach dziewczyny... Widząc, że nie oponuje, potrząsnęła zwojem... „Lecz ty — powiedziała nagle — możesz zostać Rzymianinem... Należysz — ciągnęła — do naszego świata. Nigdy nie myślałam, że Żyd może ta pięknie wypowiedzieć strofy Odysei... Jeśli chcesz zdobyć świat, to płyn jak Odys...” Urwała i zdawała się czekać. On zaś myślał o tym, co mu powiedziała. Miał uczucie, że doznaje olśnienia. Od tamtego południa odkrycia rodziły się w nim nagle, jak kształty wydarte mrokowi wystrzałem błyskawicy... Miała słusność córka prokonsula: świat rzymski mógł zdobyć tylko Rzymianin. Człowiek, który potrafił przezwyciężyć nawet wołanie własnej krwi. Przezwyciężyć samego siebie. Skoro skończył się czas ofiar — skończył się także czas pierwszego przymierza. Nie ma już narodów wybranych. Nie czas na walkę o prawdę jednego tylko narodu... Skłonił głowę. „Powiedziałas prawdę, dostojna Sergio. Trzeba mi zapomnieć, że jestem Żydem. Zapomnę... Jestem także obywatelem rzymskim. Jeszcze mój ojciec kupił to obywatelstwo za duże pieniądze. Mogę być Rzymianinem dla Rzymian...” (str. 27 nn.).

Rozmowa z Sergią uświadomiła Pawłowi, że chcąc być rzeczni-kiem uniwersalizmu, trzeba odrzucić wszelką połowiczność. Że wyzwolenia człowieka jako takiego nie można głosić całej ludzkości, stojąc dalej na platformie idei jednego, wybranego, uprzywilejowanego narodu, że trzeba się wznieść ponad wszelki nacjonalizm, stanąć na platformie ogólnoludzkiej. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. Uniwersalizm może być albo pełny, albo żaden.

Całe to nowe zrozumienie rzeczy przybrało u Pawła zewnętrzną postać pragnienia dotarcia do stolicy całego znanego naówczas, kulturalnego świata, do Rzymu, i rozpoczęcia stamtąd głoszenia nowych religijnych haseł. Około tego pragnienia skupiły się teraz wszystkie myśli Apostoła oraz osnuły wszystkie wysiłki jego woli, przyzwyczajonej już od młodości do realizowania podjętych planów szybko, energicznie i z niezłomnym uporem.

W rzeczy samej w przeciągu najbliższych lat Apostoł, z hasłem całkowitego, bezkompromisowego uniwersalizmu na ustach, począł ogarniać swym zasięgiem misyjnym coraz to szersze tereny, nie porzestając na Małej Azji, ale przeprawiając się również do Europy (Grecji i Macedonii). Towarzyszyło mu wszędzie nadzwyczajne powodzenie, w którym widział potwierdzenie ze strony Boga, iż straszną i zgodną z bożą wolą obrał drogę. Gdy zdawał sprawę swym współwyznawcom jerozolimskim po powrocie z trzeciej podróży misyjnej.

„...ze zdumieniem dowiadywali się o ludziach, których istnienia nawet nie przypuszczali. Jerozolima i Judea zdawały się maleć. Stawały się ziarnkiem, na którym wyrastał coraz bujniej wielki, rosochaty krzew... — Chcecie wiedzieć, jak jest? — mówił Paweł. Wszyscy do nas idą. Wszyscy tęsknią do wybawienia, bowiem świat czuje, że ciąży na nim piętno grzechu. Ale nie każdy może iść do Jezusa tak samo. Jeden jest słaby, drugi silny... Trzeba nam być dla każdego wszystkim... Dla wszystkich Chrystus dał się ukrzyżować. Ale to my musimy Jego zbawienie zanieść wszystkim... Schodziliśmy całą Achają i Macedonię... Wszędzie Duch zstępuje na ochrzczonych i wszędzie szatani poddają się nam... A to jest znak dla nas, że słuszną jest nasza droga. Byliśmy w Koryncie, w mieście rozpusty... I tam Duch był z nami. Doszedłem do Aten, miasta zarozumiałego w swej mądrości... Kpiono tam ze słabości mojej. A przecież choć zostałem wyśmiany, poszli za mną ludzie, a wśród nich mędrzec, wielki Dionizy... Nie ja ich zdobyłem, bracia, bo niczym jestem i gdy mi przychodzi nauczać, stoję przed ludźmi z lękiem wielkim i słabością... Ale podoba się Panu przez moją nędzę ukazywać swoją moc... Nikogo bym nie zdobył, gdyby nie Pan. Pan wszystko. Więc i to jest znak, że trzeba poganom opowiadać Ewangelię. Dobra nowina dla wszystkich przyszła.” (str. 69 n.).

Na ten moment świadomości Pawła, iż zarówno on sam, jak i jego dzieło pozostaje pod bezpośrednim kierownictwem samego Boga, że pełni tylko wolę bożą, nie swoją, że nie on działa i osiąga sukcesy, ale działa Łaska, że wszystko jest dziełem Boga, a on stanowi tylko boże narzędzie — kładzie Dobraczyński silny nacisk (por. str. 55, 41, 16, 21, 60, 25).

Ten bowiem moment daje mu drugi — obok sprawy nawrócenia — wdzięczny temat do obszernych refleksji nad przeżyciami psychicznymi człowieka wybranego na narzędzie boże i kierowanego we wszystkim boską łaską. Myśl zasadnicza, jaką w tym wypadku pragnie Dobraczyński przedstawić poglądowo na opracowanej po literacku postaci Pawła, jest następująca: Człowiek w ręku Boga zachowuje mimo wszystko poczucie własnej indywidualności i wartości. Ta okoliczność sprowadza jednak niebezpieczeństwo wytworzenia się w człowieku przekonania, jakoby go Bóg wybrał na swe narzędzie właśnie dla jego uzdolnień osobistych. By usunąć niebezpieczeństwo podobnej pychy osobistej i uświadomić człowiekowi, że jedynym czynnikiem działającym jest w gruncie rzeczy sama tylko Łaska boska, Bóg niejednokrotnie posuwa się aż tak daleko, że krzyżuje wprost wszystkie jego plany i nadzieje, stawiając go wobec coraz to nowych pozornych niepowodzeń i bolesnych zawodów.

Takie właśnie krzyżowanie się planów człowieka z wolą boską, a raczej jakby umyślne krzyżowanie przez Boga planów ludzkich, powziętych zresztą pod wpływem samego Boga, przedstawia Dobraczyński na tle postanowienia Apostoła dotarcia do Rzymu.

Plan wykroczenia poza misyjny teren Azji, a przerzucenia się do Europy i dotarcia do ówczesnego jej centrum — Rzymu, nie był wyłącznie pomysłem Pawła. W sposób zupełnie wyraźny pędził go w tym kierunku również Bóg. Zwłaszcza trzecia podróż obfita była w widome znaki boskiego kierownictwa.

„...To była najdziwniejsza z jego wypraw, to obijanie się o zamknięte drzwi. W Stratonikei otrzymał pierwsze ostrzeżenie. Obudził się ze świadomością, że ma opuścić Azję. Natychmiast więc zmienił plan drogi. Postanowił iść do Bitynii. Szli pośpiesznie przez Prusę i Nikaję do Nikomedii. Ale w Nikai rozkaz mocny, jak uderzenie, nakazał znów Pawłowi zmianę kierunku. Zawrócił. Błędnie teraz, bez wyczucia, gdzie ma iść, znalazł się w Paimanenon, na wielkim szlaku wiodącym do Sardes, Filadelfii, Laodycei. Poczul się nagle źle. Choroba, nad którą panował zwykle mocą woli i zapалу... zaczynała go zwyciężać. Dwa dni leżał... w chacie litościwego chłopa. Kiedy wstał, wyglądał jak cień. „Musimy iść do morza — powiedział do Sylasa. Więc chodźmy do Adramyttion“.

Dopiero gdy z górzystego płaskowzgórza poczęli zstępować na niziny nadbrzeżne... poczuł się lepiej... „Nie pójdziemy do Adramyttion, lecz do Troady — zdecydował Paweł. Tam łatwiej o okręt...” (str. 25).

Tym dziwniejsze zatem wydało się Apostołowi, gdy nagle otrzymał z góry — w formie wewnętrznego nakazu, nasilającego się coraz bardziej — zlecenie przerwania dalszej podróży na zachód, a powrócenia do Jerozolimy. Zlecenie to uderzyło go niby grom spadający z jasnego nieba; było dlań nie tylko nad wyraz bolesne, ale i zupełnie niezrozumiałe na tle dotychczasowych zleceń bożych. Już niegdyś jednak, zaraz w początkach po nawróceniu, Paweł ślubował Bogu bezwzględne posłuszeństwo, oparte na szalonej miłości, jaka się w nim zrodziła gdy został porwany ekstazą niebiańską i otrzymał wizję tego, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało (str. 45). Na myśl mu nawet nie przyszło, by nie słuchać i teraz dziwnego rozkazu umiłowanego Boga. Przerywa natychmiast list, który zaczął pisać do wiernych w Rzymie, zawiadamiając ich o swym do nich wkrótce przybyciu — i zmienia jego tenor, zapewniając, że przybędzie dopiero po powrocie z Jeruzalem.

Mimo faktycznie szybkiej decyzji, pójście za głosem bożym i zawrócenie do Jerozolimy musiało być dla Pawła krokiem, który kosztował go wiele wewnętrznych zmaganiań. On, który od pierwszej chwili zrozumienia znaczenia Rzymu dla misji chrześcijańskiej wyrwał się do niego, miał nagle teraz podróż swą przerwać, gdy uszedł już taki kawał świata, gdy był niemal u progu.

Wnikliwie analizując, przesuwają Dobraczyński przed czytelnikiem całą galerię pokus, jakie kolejno nawiedzały Pawła, pragnąc go zawrócić z drogi do Jerozolimy. Każda z pokus dopuszczała atak do Apostoła od innej strony jego życia psychicznego, i każda była silniejsza od poprzedniej.

Zaczęło się od tego, iż w przeddzień projektowanego wyjazdu z Troady odwiedził Pawła dawno nie widziany Łukasz, lekarz, a zarazem zaufany towarzysz i przyjaciel i w imię względów zdrowotnych starał się odwieść Pawła od podróży (str. 18). Zdrowie cielesne nie odgrywało już od dawna żadnej roli u Apostoła. Stąd ta pierwsza pokusa nie była dlań trudna do przewyciężenia.

Ale zaraz przyszła druga, silniejsza: Łukasz donosi Apostołowi, że do Troady przybył Piotr, właśnie w przejeździe do Rzymu. Ta wiadomość poruszyła już znacznie głębiej Pawłem.

— „Więc już można jechać do Rzymu?”

— Można...

— Więc już można tam płynąć. — Paweł powiedział to, jakby sam do siebie... Można. I Piotr się spieszy. Mocno, boleśnie zacisnął wargi. Będzie tam wcześniej...

Łukasz przyjaźnie ogarnął ramieniem ramię Pawła. Czemu — powiedział łagodnie — nie mielibyście popłynąć razem? Byłbyś nareszcie w Rzymie.

Czuł, jak przez ciało Apostoła przebiegł długi dreszcz. Paweł począł odychać prędko, jak ktoś, kto pasuje się z niewidzialnym nieprzyjacielem.

— Wiesz przecież — wyszeptał — że ja idę do Jerozolimy...

— Nie musisz tam iść. Idź do Piotra, a on... Paweł przerwał mu gwałtownie:

— Nie popłynę z nim! Muszę do Jerozolimy...

— Pawle... Jesteś mu niechętny. A Jezus nakazał...

— Nie jestem mu niechętny... Sprzeciwiłem mu się raz... Masz rację, nie byłem sprawiedliwy... Nie rozumiemy się z Piotrem. On postępuje tak, jakby miał nigdy nie umrzeć. Ja tak nie mogę. Nie potrafię. Mój czas jest krótki. Ja muszę ciągle dalej, dalej i więcej... — Więc Marek jest z Piotrem? To dobrze... Rzym jest środkiem świata: tam trzeba budować... Nie w Jerozolimie...

— Ty jednak idziesz do Jerozolimy...

— Muszę tam iść... Szczęśliwy Piotr... Ale niech płynie, niech płynie... Tamto jest moja ziemia, bo kazano mi iść do pogan... Ale niech płynie... Niech mu Pan szczęści i pomaga..." (str. 20 nn.).

Jeszcze silniejsza była następna pokusa, jaka uderzyła na Apostoła w drodze z Troady do Assos, gdzie miał się spotkać z towarzyszami i wsiąść z nimi na okręt jadący do Jerozolimy. Podróżującego samotnie Apostoła napadł w drodze atak febry. Półżywego zaciągnęła para pasterzy (brat i siostra) do grotty mieszkalnej. Po przyjściu Apostoła do przytomności wywiązała się między Pawłem a pasterką rozmowa, w trakcie której ogarnął ją nagle szal, z którego Paweł poznał, że dziewczyna jest opętana.

...Wrzasnęła i zakryła twarz rękoma. Poczęła miotać się jakby w konwulsjach... Parsknęła gniewnie:

...O, ja wiem, gdzie idziesz! — zawołała triumfująco — ...Chcesz żaglować do czarnego miasta na górze. Myślisz, że za twoje kochanie... teraz wreszcie... usłuchają cię. Ha, ha, ha!... Słuchaj! Ja ci mówię, ja wiem — nikt ci nie uwierzy. Nikt cię nie posłucha! Założą ci za to łańcuch... Nie będziesz już potem pływał po morzach! Będziesz więźniem! Więźniem! Wiesz co to znaczy? Nie będziesz już nic mógł zrobić — dla twego Boga...

Paweł doznał uczucia, jakby na jego gardle spoczęła zimna dłoń. Wbrew woli zadrżał. W krzykach opętanej przejrzał nagle swój los. Nie mógł zlekceważyć tych słów. On sam, ulegając przemożnej woli, która nakazała mu płynąć do Jerozolimy, miał przecież świadomość, że ma się tam dokonać coś decydującego. A jeśli czekało go tam naprawdę więzienie? Poczuł lęk. Więzienie, to było zamknięcie w bezczynności, niepotrzebny postój w zdobywczej wędrówce. Nie lękał się ciemnicy, łańcuchów czy batów. Ale dla niego życie bez działania nie warte było nic.

Dziewczyna krzyczała dalej:

— Wiem! wiem! Nie zobaczysz wielkiego miasta, za którym tęsknisz... Cokolwiek zapragniesz — wszystko stanie się inaczej. Na odwrót! Wierz mi... Jakiś ty głupi! Człowiek, którego nienawidzisz, uprzedził cię!

— Nie nienawidzę go — próbował się bronić — szanuję go, staram się go kochać...

— Ha, ha, ha!... — drwiła. Znowu sam przed sobą kłamiesz. Nienawidzisz go! Ale masz rację. On nie jest godny tej czci, którą go otaczają... Gdzież jemu mierzyć się z tobą?... (str. 40 nn.).

„...Przemocą strząsnął ucisk, który czuł w gardle. Przemógł lęk i słabość. Ten, który go rzucił na ziemię, nakazywał często rzeczy niepojęte. Ale jeśli On, któremu Paweł służył, kazał mu iść do Jerozolimy, to nie było o czym mówić! Pan mógł nie chcieć jego nauczania, zdobywania ludzi... Jednego chciał: posłuszeństwa. To znaczy miłości... Zgarnął ostatek sił, jakie mu jeszcze zostały. Zamienił je w jeden rozpaczliwy krzyk: — Idź precz! W Imię Jezusa (str. 41 nn.).

Jak gdyby dla ulżenia sobie po wysiłku, który go tak dużo kosztował, Paweł postanowił wysłać napisany jeszcze niegdyś, ale dotychczas nie wysłany list do Rzymian. Uczynił to za pośrednictwem zdrowej już teraz pasterki Feby.

Pokusa została przewyciężona — przewyciężona wysiłkiem woli; nie zostało jednak całkowicie unicestwione jej działanie. Rozum nie da się tak prędko ugiąć, jak wola. Echo refleksji rozumowych powtarza się zawsze długo jeszcze po wyciągnięciu pierwszego wniosku. Tak było teraz i u Pawła. Wola zdecydowała wprawdzie, odzywały się jednak jeszcze silne echa w rozumie. Przewyciężona została pokusa emocjonalna — zazdrości względem Piotra, obawy przed bezczynnością; ale w echach zimnych refleksji poczęła się odzywać nowa, gorsza jeszcze pokusa, pokusa rozumowa. Poczęła się odzywać, gdy Paweł miał już wsiadać w Seleucji na okręt.

„...Powiedział sobie, że popłynie, gdy wróci z Jerozolimy. Ale teraz już nie wiedział, czy wróci. Raczej sądził, że nie wróci... Więc po co tam jedzie? Czy naprawdę musi... złożyć ofiarę, ofiarę przebrzmiałego Zakonu? Paweł zamyślił się boleśnie. Piotr go wyprzedził. Swym wolnym, zda się, lęklwym chodem, zawędrował do stolicy świata... Paweł, choć biegł gorączkowo, nie zdołał go minąć. Przypomniało mu się, co mu kiedyś, dawno już, powiedział „kochany uczeń” Jan: „Szymona można wyprzedzić, ale na Szymona trzeba czekać”. — Trzeba czekać. Dlaczego? Dlaczego nie zawrócić jeszcze dziś i zamiast płynąć dalej na południe, pożeglować pierwszym napotkanym okrętem prosto na zachód?... Kto wie, czy nie przegoniłby Piotra... Zdobyłby to miasto pośpiesznie, jak zdobywał inne. Umiał przemawiać do pogan... Łukasz... jakby odgadując wahania i wewnętrzną walkę Pawła, powiedział raz jeszcze: — A najlepiej to nie jedźmy wcale do Jerozolimy. Mówiłem ci Pawle, że mam złe przeczucie.

Na ciemnej twarzy Pawła odbił się wyraz walki, jaką toczył. Pokusa przychodziła w nowej formie. Nie przez usta opętanej dziewczyny, ale w słowach najwierniejszych przyjaciół... Nie odpowiedział, a oni, widząc niepewność na jego twarzy, zaczęli mówić wszyscy razem: — Słusznie mówi Łukasz. Nie jedź do Jerozolimy. Kto wie, co cię tam czeka. Zwiłzył językiem zeschłe wargi. Nieogarnięty wzrokiem przestwór morza wołał i pociągał, chyba równie mocno, jak słowa przyjaciół. Ale naprzeciw pokusom stał rozkaz, wyraźny rozkaz, jemu zaś Paweł nauczył się być ślepo posłuszny. Kazano mu płynąć do Jerozolimy, a on to pojmował jako żądanie ustępstwa wobec współbraci. Jako ostatni gest wyciągniętej ręki. Teraz jednak, patrząc na morze, poczuł budzący się w nim gniew. A jeżeli ten gest kosztować go będzie życie lub wolność? Jeżeli za niego zapłaci tym wszystkim, co dać może sprawie?... Lecz w tej chwili uświadomił sobie, że wie, iż poza Grecją, Italią, Galią, Iberią są jeszcze dalsze ziemie, do których on nigdy nie dotrze! Nigdy! Cóż z tego, że i tam czekają ludzie na Ewangelię? Ten, który go obalił, znajdzie sobie innych Szawłów. Ten, który go obalił, chce od niego tego, czego pragnie Paweł. On, chce go mieć w Jerozolimie, a nie gdzie indziej! Jeśliby wbrew temu Paweł powędrował na zachód, przestanie być potrzebny, jak przestaje być potrzebne najpożyteczniejsze narzędzie, które jednak nie chce służyć... Czyż swoją wolą ma przepierać wolę Pańską? Kimże jest, aby się buntował?... Ciężko przełknął ślinę, nakazem całej woli narzucił sobie opanowanie. Powiedział: Pojedziemy do Jerozolimy... Ja wiem, co mnie tam czeka... W głosie jego był spokój i łagodna, lecz nieugięta stanowczość." (str. 52 nn.).

Przewyciężywszy siebie, pogodzony już z myślą, że Pan chce go mieć nie gdzie indziej tylko w Jerozolimie, Paweł dociera po dłuższej podróży do świętego miasta. Nie myśli już więcej na razie o Rzymie, nie zastanawia się już nad tym, dlaczego Bóg niegdyś wiódł go sam ku stolicy świata, a teraz nagle cofnął go z drogi. W Jerozolimie nie ma zresztą Paweł czasu myśleć o problemach rzymskich, bo od razu absorbują go sprawy aktualne: najpierw sprawa stosunku do chrześcijan judaizujących, później sprawa stosunku do Żydów. Dochodzi do pochycenia Apostoła w świątyni, potem do próby zlynczowania go, wreszcie do osadzenia w więzieniu przez trybuna rzymskiego Lyzjasza. Paweł ledwie żyje, pobity srogo przez motłoch żydowski. Nic to jednak; on, który od tylu lat nie miał większego ideału, jak cierpieć, a nawet oddać życie dla imienia Jezusowego, mężnie znosi najgorsze dolegliwości, zda się pragnąć jak najwięcej cierpieć. Nagle, gdy wyrwany przez trybuna półżywy z rąk rozwścieżonego tłumu, zostaje przez niego skazany na karę biczowania, w momencie najmniej spodziewanym, zamiast przyjąć spokojnie i to cierpienie dla imienia Jezusowego, uchyla się przed nim, powołując się na swoje obywatelstwo rzymskie, chroniące go prawnie przed karą chłosty.

Zreflektował się już po fakcie dokonanym, zwłaszcza gdy osadzono go w więzieniu w Cezarei:

„...opanowały go gorycz i przygnębienie. Bez przerwy myślał o śmierci, której się wyrzekł... Nie lęk przed zbrojnymi w bice żołnierzami, ale wewnętrzny nakaz zmusił go do powiedzenia setnikowi o swym obywatelstwie. On, mógł i ten nakaz odrzucić. Nie był nigdy niewolnikiem, nawet wtedy, pod bramą Damaszku. Nie odrzucał go jednak nigdy... Z latami narosło w nim przekonanie o konieczności zniszczenia siebie w sobie. Swej woli, własnej i jedynej. Niszczył ją. Ale ona odżywała tysiącem pragnień. Dziś kazała mu wdychać do śmierci... Lecz Paweł czuł, że i pragnienie śmierci jest pokusą... Jeśliby bowiem żył sobą, zdradzałby Pana... Siadłszy na słomie i skupiwszy całą uwagę, tłumaczył sobie: Krzyż? Któż ma do niego prawo?... Nie wolno tego robić, zwłaszcza jemu. Czy nie otrzymał potwierdzenia, że tak było dobrze? Czy nie widział w ciemnych lochu Antonii swego Zwycięzcy i usłuchał Jego słów? To, czego się wyrzekł, zostało mu przyobiecane. Miał zobaczyć Rzym i miał w Rzymie złożyć świadectwo. Dlaczego więc ulega smutkowi?... I znowu dźwigał się wzmocniony. Ale pokusa nie odchodziła. Wisiała nad nim dalej, żałością pustki i beznadziejnością upływających dni. Na nowo zaczynała: uciekłeś od śmierci...; na nowo męczyła: tam ludzie czekają, a ty jesteś więźniem...” (str. 120 n.).

Tak Paweł był jak gdyby zawieszony duchowo między niebem a ziemią. Wiedział, że ma kiedyś jechać do Rzymu, a jednak w tej chwili perspektywa wyjazdu była zupełnie nieokreślona. Na razie tkwił beczynn timer w więzieniu nie wiedząc, jak długo przyjdzie mu tak pędzić czas w beczynności. Tym razem uderzył go Bóg od strony jednej z jego najbardziej znamienitych cech charakteru, mianowicie od strony niecierpliwości, gorączkowości — tej cechy, którą różnił się od Piotra i która doprowadziła nawet do powaśnienia się z nim.

„...Paweł pojął, że Feliks (prokurator) obroni go wprawdzie przed Sanhedrynem, ale też nie wypuści go, póki coś na tym nie zyska. Dlatego wciąż osaczały go smutek i przygnębienie. Tęsknie patrzył na okręty wypływające na granatowe morze... Za tym morzem był Rzym. Ten Rzym, którego się wyrzekł a który mu został przyznany. Nie od razu jednak miał doń popłynąć... Rzym miał nadejść na końcu, niewiadomego w swej dłużyźnie, okresu czekania. Lecz człowiek był słaby i łamał się. Nie chciał czekać. Nie buntował się otwarcie, ale popadał w zniechęcenie, w gorycz, w przygnębienie... Oh, to śmiertelne, uparte ciało... Siłą brał się w karby... poczynał się modlić. Modlitwa ciężko spływała z warg. Trwała tylko trwaniem słowa. Potem gasła. Nie pocieszała. Zwycięzca przychodził tylko wówczas, gdy sam chciał przyjść. Paweł wiedział o tym dobrze. Więc pozostawało nieustępliwe trwanie...” (str. 126).

Wreszcie nadszedł moment apelacji Pawła do cesarza. Ostatecznie więc skończyło się więzienie. Wyjechał — wprawdzie jako więzień — lecz do Rzymu. Podróż pełna przygód upłynęła szczęśliwie, Apostoł do Rzymu przybył, a nawet uzyskał dość korzystne warunki

pobytu. Ale tu właśnie Bóg gotuje mu drugą niespodziankę: godzi w drugi rys jego charakteru: w pewną zarozumiałość ze swych zdolności i z tego, co dokonał.

Niegdyś wyobrażał sobie Rzym jako teren masowego zdobywania dusz dla Chrystusa — teren swej najżywszej i najenergiczniejszej działalności. On, który tyle działał i tyle energii rozwijał w miastach Macedonii, Grecji, Achaji, ileż dopiero rozwinie w wymarzonej stolicy świata! A tymczasem ma wprawdzie względną swobodę, nie siedzi w więzieniu lecz mieszka w domku prywatnym za miastem jako internowany w ustawicznym towarzystwie strażnika, nie może się jednak swobodnie, szybko i energicznie (swoim zwyczajem) poruszać, działać, biegać. Musi czekać na tych, co sami się zgłoszą.

Nie było to jednak najgorsze. Zawsze zostaje nadzieja, że może wyrok sądowy da mu swobodę ruchów. Gorsze, że stwierdził, iż istniejący już w Rzymie chrześcijanie odnoszą się do niego nie tylko nieufnie, ale wręcz podejrzliwie, jak gdyby ulegając jakiejś uprzedzającej go, wroziej mu propagandzie.

Do tego uwikłano go zaraz na samym początku w niezmiernie trudny do rozwiązania spór o to, czy chrześcijanin może malować postać ludzką Dobrego Pasterza, jako motyw religijno-dekoracyjny. I tak już niewielka gromadka otaczających Pawła chrześcijan rzymskich stopniała do połowy, gdy Apostoł rozstrzygnął spór po myśli malarza.

„...Uśmiechał się, ten uśmiech jednak był coraz boleśniejszy, coraz większym wysiłkiem wydobyty na wynędzniałą po chorobie twarz. Czy mógł oczekiwać, że taki będzie wynik jego pracy w Rzymie? To miasto marzeń wydawało mu się miejscem, gdzie wreszcie będzie mógł zdobyć wszystkich: Żydów i pogan. Stało się inaczej. Odeszli od niego Żydzi, odchodzili poganie... Nie mógł temu zapobiec. Był więźniem, przykutym do małego domku za bramami miasta. Choroba dokuczała mu przy tym bardziej niż kiedykolwiek... A mimo to nie chciał ulec w walce o uśmiech. To tylko na pozór była sprawa mała, zewnętrzna, błaha. Naprawdę ten uśmiech był zasadniczym krokiem w zmaganiu się o przyjęcie tego, co mu jego Zwycięzca zsyłał. Reszta już nie należała do Pawła; na resztę trzeba było czekać. Ale uśmiech był początkiem. ...Jego gromadka topniała niby kawał lodu rzucony na rozprażone kamienie. Nikt nowy nie przychodził teraz, nikt nie prosił o chrzest. Trwali przy nim jedynie ludzie poprzednio zdobyli... Efez i Tessaloniki, Korynt i Filadelfia... to były lata wędrówek niełatwych, bolesnych, ciężkich... I wtedy był prześladowany, obrzucany zarzutami i kamieniami... I wtedy byli tacy, co odchodzili. Ale równocześnie byli i ci, których zdobywał. Tylko tu w Rzymie nie zdobył nikogo!...” (str. 216 nn.).

Nie dość na tym. Jak gdyby dla większego kontrastu odwiedza Pawła dawno nie widziany, niegdyś wierny współpracownik Epafras, świeżo przybyły do Rzymu, i donosi Apostołowi, że w Kolossie zdołała wreszcie utworzyć się gmina chrześcijańska.

„...Paweł podniósł głowę i zamrugał powiekami. Ale nie powiedział nic. Zanadto drżały mu usta, za silne ściskanie czuł w gardle. Kolossa zdobyta! Czy można się nie cieszyć? To było miasto odporne i trudne. Próżno wiele razy wysyłał tam z Efezu uczniów... zawsze wracali zniechęceni... A teraz nagle udało się! Czemu to przypisać? Gdy był blisko, w Efezie, nic nie wychodziło z ich prób. A gdy teraz jest daleko i w łańcuchach, zdobył Kolosę. Może właśnie dlatego, że jest daleko i w więzach... Pan dobry — szepnął. Pańskie dzieło...” (str. 219).

Ten kontrast był upokorzeniem Pawła, przy równoczesnym jednak pogłaskaniu go. Ale przyszło wkrótce jeszcze większe upokorzenie, już bez pogłaskania. Nieliczni chrześcijanie rzymscy, jacy nie dali się porwać wrogiej Apostołowi propagandzie, postanowili salwować jego honor, osobę i pracę wobec reszty, która od Pawła odeszła, otumaniona propagandą, jakoby fałszywą głosił naukę. Celem salwowania Apostoła uzyskują za pośrednictwem przełożonego gminy rzymskiej, presb. Linusa, że sprawę prawowierności Pawła rozpatrzy sam Piotr, wracający właśnie z chwilowej podróży.

Paweł nie boi się sądu Piotra, zwłaszcza, że przybyły wraz z Epafrasem Marek przywiózł mu pozdrowienie Piotrowe, zapewniając, iż Piotr oburza się na skargi, jakie doń na Pawła nadsyłają. Nie mniej jednak na tę wiadomość Apostoła

„...ciężko osunął się na ławkę. Wolno podniósł ręce i zastonił twarz dłońmi. Marek przyniósł mu zaufanie Piotra. Lecz jakżeż to było mało dla człowieka jak Paweł? Marząc o Rzymie, sądził, że przyplynie tutaj by zdobywać, a nie, by usprawiedliwiać się! Przecież to, co mówił, było Prawdą. Prawdą, objawioną mu przez samego Jezusa. Ale ta Prawda rozpraszała się widać w jego ustach. Nie rozumiano go. Gorszono się. Kim stał się tutaj on, który uważał się za Apostoła, jak tamci? Człowiekiem, który przekreśla słowa Pańskie. Człowiekiem, którego Piotr musi bronić... Czyż to nie jest karą za pychę, za grzeszną ambicję, jaką było, że chciał przyplłynąć tutaj?

Lecz po chwili otrząsnął się z tych myśli, jak ptak z wody. Jeżeli jest słaby, to znaczy był sobą. Jeśli źle sądził, to dlatego, że jest sobą. Bóg tylko może dać wszystko: moc, wymowę, jasność widzenia. Ale on, sam z siebie, posiada tylko słabość i kruchość. Tylko nędza ciała i ułomność ducha mogą być jego chlubą. Wszystko inne — to Jezus... I jeszcze raz, odsunawszy od twarzy ręce, przymusił się do uśmiechu...” (str. 221).

To ostatnie doświadczenie Pańskie zdołało całkowicie przemóc wszystko, cokolwiek jeszcze było w Pawle z zarozumiałości i szukania

siebie. Jakże inny już jest Apostoł, gdy mu oświadczają, że jutro stanie przed trybunałem cesarskim!

„...Wiadomość spadła na Pawła jak grom... Apostoł podniósł się na swym posłaniu i rozłożywszy ręce, począł się modlić... Schyliwszy głowę, powtarzał: Niech będzie jak Ty chcesz, niech będzie wola Twoja... Lecz ciało uchylało się w żalną prośbę: niech będę wolny... Nie! Nie! — zaprzeczał mu gwałtownie Paweł. — Jak Ty chcesz, jak Ty zechcesz, niech tak będzie, nie inaczej...” (str. 248).

Nie były to tylko czeze słowa. Nie był to tylko jednorazowy akt woli, był to początek zmiany postawy zasadniczej. Dowodzi tego zachowanie się Pawła, gdy już po wyroku uwolnienia spotyka się po raz pierwszy w Rzymie z Piotrem. Spotkanie to odmalowuje cudownie nie tylko obecną pokorę Pawła, ale również istotną różnicę w charakterze, postawie i podejściu do rzeczy obu Apostołów. Gdy Piotr wszedł nie zapowiedziany do mieszkania Pawła,

„...Paweł zerwał się ze swego stołka... Stał teraz przed Piotrem cały drżący, przyciskając mocno ręce do piersi. Jego usta poruszały się, jakby coś prędko mówił. Lecz... dopiero po dobrej chwili powiedział cicho i chrypliwie:

— Już stąd odchodzę, Cefasie...

— Gdzie chcesz iść, Pawle?... Dlaczego?

— Przecież — Paweł łamał się ze słowami — tu jest twoja ziemia... twoja rola... Ciszej, bardzo boleśnie dodał: — Nic tu po mnie... Jestem już wolny, mogę iść... I pójdę... pójdę...

— Nie twoja rola? — Piotr... nagle przystąpił do Pawła. Położył mu swe wielkie... dłonie na ramionach. — Nie rozumiem cię — wyznał prosto.

— Ależ tu, tu, w Rzymie jest dość roli dla wielu. Dla nas obu starczy miejsca.

— Dla nas obu... — Paweł powtórzył głucho. — Zbyt dobry jesteś, Cefasie. Ale ja...

Olbrzymi rybak wzruszył porywczo ramionami.

— Nie jestem wcale dobry!... Wszak wiesz, że zaparłem się Pana... Nie jestem dobry... To wcale nie przez dobroć, mówię ci, że tu jest miejsce i dla mnie i dla ciebie. Sam widzisz, ilu tu ludzi! Zeszli się ze wszystkich stron. Rzym jest jak morze, do którego spływają rzeki ze wszystkich stron. Ale to morze jest naszym morzem... W mroku posłyszał okrzyk:

— Cefasie!... Więc ty tak naprawdę myślisz?

— Tak myślę... I tak jest, Pawle...

— Więc i ty tak myślisz? — Głos Pawła drżał. Bo widzisz, Cefasie... Ja, ja już tak dawno myślę... Mnie już dawno, zdaje się, że świat cały do Rzymu spływa i z Rzymu się rozrasta. A skoro jest rzymski, można go zdobyć tylko tutaj, w Rzymie! Świat ma swoje drogi i nie naszą jest sprawą je odmieńać... Musimy iść drogą świata i na niej, na niej, Cefasie, głosić Ewangelię... — Trząśnięcie się coraz mocniej ze wzruszenia. Głos mu rósł. Chwilami załamywał się, chwilami wybuchał.

— Świat, Cefasie — wykrzyknął — dziś jest rzymski! Może jutro będzie partyjski, może gallicki, może germański. Ale jaki jest — musi być Jezusowy i musi pozostać Jezusowy!

Jak gromkie echo powtórzył Piotr:

— Musi pozostać Jezusowy!

Stali naprzeciwko siebie, pełni wzruszenia, że wreszcie — po tylu latach — złączyła ich jedna myśl.

— Siądź, Cefasie... — Cieszę się, że myślimy tak samo..." (str. 270 n.).

Przeprowadzona analiza trzech typów prorockich w ujęciu Dobraczyńskiego dała nam ciekawy, obszerny, wnikliwy i oryginalny materiał, poświęcony jednemu z najtrudniejszych zagadnień teologicznych: problemowi działania łaski boskiej i współdziałania z nią człowieka. Chęć usunięcia rąbka zasłony z tego misterium, które w swym istotnym jądrze na zawsze pozostanie wyłączną własnością Boga samego, niejednokrotnie pasjonowała umysły głęboko katolickie. Dobraczyński zdawał sobie sprawę z trudności piętrzących się przed nim, gdy na swym literackim warsztacie umieścił to zagadnienie i podjął się próby odtworzenia po literacku tajemniczych dróg, którymi łaska boska prowadzi człowieka do spełnienia misji zleconej mu przez Boga. Jeśli Dobraczyński na bohaterów swych powieści wybrał trzy nadzwyczajne, znane i ściśle historyczne postacie świętych (Joanna D'Arc, Jeremiasz i Paweł), postacie wyraźnie kierowane przez Boga w swej dziejowej misji, to u podstaw tego wyboru leżała niewątpliwie świadomość z jednej strony wyjątkowych trudności, które wyrastają z samego zagadnienia, a z drugiej przekonanie, że na tych jaskrawych przykładach można stosunkowo jeszcze najlepiej śledzić, podpatrywać, obserwować i naświetlać sposoby, jakimi Bóg posługuje się w przeprowadzaniu swych planów.

Postaramy się zebrać szczegóły wydobyte przez Dobraczyńskiego w jeden krótki i zwięzły obraz.

Łaska w postaci głosu bożego, dającego wytyczne całej misji powierzonej przez Boga człowiekowi, objawia się Joannie, Jeremiaszowi i Pawłowi nagle, w postaci specjalnego powołania ich do czynów przez Boga zaplanowanych — powołania wyraźnego co do samego faktu, ale nie zawsze jasnego co do treści. Nie ma przed nim ucieczki i ciężko jest wymknąć się z rąk „Żywego Boga“.

Rozkazy boże bywają często „straszne“, nie idą one po linii upodobań człowieka. Jedynie poczucie posłuszeństwa Bogu kieruje tymi, co ulegają Łasce. Najczęściej wykonawcy bożych nakazów chcieliby coś wręcz przeciwnego. Joanna marzy o powrocie w zacisze życia

wiejskiego. Bóg każe jej walczyć i stać na czele armii. Paweł najchętniej udałby się do Rzymu, by stamtąd zdobyć świat dla sprawy Chrystusowej, a tymczasem odbiera rozkaz wyjazdu do Jerozolimy, gdzie czekają go kajdany. Jeremiasz wreszcie, kochający swój naród, zmuszony jest głosić jego zupełną zagładę.

Konkretne zlecenie dyktuje Bóg stanowczo i wyraźnie. Joannę mianuje prorokinią i wodzem zwycięstwa, Pawła narzędziem postępu swojej nauki, Jeremiasza prorokiem upadku własnego narodu, co czyni zeń najbardziej tragiczną, ale i najciekawszą postać spośród trzech typów prorockich.

Rozkazy boże wydają się częstokroć alogiczne. Nie dają się wytłumaczyć w kręgu ludzkiej myśli i granicach czasu. Tak np. Jeremiasz, wbrew rozsądkowi, głosi walkę z potężnym Egiptem. Dawca łaski nie pozwala by człowiek, będący tylko narzędziem Jego planów, nabrał przekonania o własnej mądrości, wadze i wartości. Dlatego to Paweł nie zdobywa powodzenia w Rzymie i ukorzyć się musi przed Piotrem, a prorok i doradca królewski Jeremiasz traci zaufanie i szacunek u ziomków po strasznej klęsce Izraela z Egipcjanami.

Chociaż Bóg swoimi wybrańcami kieruje stale i nie tylko przez jedno pełnienie ich w kierunku przez siebie wyznaczonym, lecz przez ustawiczne podniety i oświecenia, to jednak bywają oni przez Niego od czasu do czasu stawiani jak gdyby na rozdrożu, zostawieni jak gdyby w zawieszeniu. Brak odczucia, że są kierowani przez Boga, całkowite zamilknięcie „Głosu“ bożego, wszystko to poddaje wybrańców bolesnej próbie, z której tylko dzięki żywej pamięci pierwszej chwili powołania wychodzą zwycięsko. Ostatni promień łaski dopiero przynosi im zwykle pogodę i radość. Joanna z uśmiechem przebaczenia dla sędziów pozwoliła się objąć płomieniom stosu, rzymskie spotkanie Pawła z Piotrem przyniosło wzajemne, pełne zrozumienie obu Apostołów, wrzucony do błotnistej studni Jeremiasz tam wreszcie po długim czasie po raz pierwszy się uśmiechnął, bo oto Pan objawił mu ostateczny triumf Nowego Przymierza. Lecz zanim to nastąpiło, każdy z wybrańców Łaski w momencie, gdy dochodził do kulminacyjnego punktu swej misji, był przez Boga zupełnie i całkowicie opuszczony i zostawiony sobie, oddany na pastwę udręki płynącej z poczucia pozornej bezcelowości i bezsensowności swego posłannictwa. Dopiero wtedy, gdy wypaliło się w nim wszystko co ludzkie, gdy wyzwolił się z mniemania, jakoby dzieło którego dokonał było jego własnym dziełem, gdy załamało się i legło w gruzach to wszystko co było rachubą

czysto naturalną — wtedy dopiero przychodził Bóg, rozpromieniał i opromieniał wszystko swą łaską i dźwigał gmach życia, nadając sens wszystkiemu co dotąd było niejasne i zagmatwane.

Czyniąc w ten sposób z człowieka swoje własne narzędzie, oraz uświadamiając mu to i przypominając ustawicznie i wyraźnie, Bóg nie chce jednak bynajmniej, by człowiek przestał być człowiekiem, tj. istotą świadomą i wolną. Wybrańcy boży doskonale zdają sobie sprawę, że wszelki pasywizm z ich strony, wszelki wygodny, bezczynny kwietyzm byłby przeciwny myśli bożej. Pamiętają ustawicznie, że człowiek ma nie tylko poddać się Łasce, ale i współdziałać z nią, rozwijając pod kierownictwem bożym pełną, własną aktywność. Słowa Joanny: „walczcie a cud się dokona, prężcie ramiona z wysiłku, a Bóg da im moc wszechkruszącego młota. Bóg chce, aby człowiek działał. Nic za nikogo robić nie będzie“ — te słowa są zewnętrznym wyrazem postawy ducha nie tylko Joanny, ale i wszystkich innych wybrańców bożych. Joanna — według Dobraczyńskiego — ukazuje się nam jako żywe wcielenie najwyższego wysiłku ze strony człowieka, który współpracuje z Łaską bożą. Tak samo cały tragizm Jeremiaszowy, jak również dynamizm Pawłowy, są jednym silnym protestem przeciwko postawie kwietystycznej, zwalającej i przerzucającej na Boga wyłącznie całą działalność i odpowiedzialność za skuteczność względnie bezpłodność Łaski.

Każda z wybranych przez Boga osób zachowuje w ciągu swej misji własną indywidualność i posiada własne i mocne oblicze. Bywa to pomocą lub przeszkodą w dalszych kolejach jej życia. Osobowość Pawła ożywiona ideą uniwersalno-demagogiczną zbliżenia ludu do Zakonu i Zakonu do ludu, zdaje się być — pomijając późniejsze konflikty — predestynowana na stanowisko głosiciela słów bożych; wygląd zewnętrzny Joanny nie razi wśród żołnierzy; Jeremiasz natomiast życie całe targa się i szarpie na ciężkim łańcuchu powołania anachorety i głosiciela nieszczęść narodowych.

To właśnie zachowanie przez wybrańców bożych pełnej indywidualności i rozwinięcie pełnej osobistej aktywności ludzkiej, staje się dla nich przyczyną szeregu głębokich i bolesnych nieraz konfliktów duchowych. Konflikty te bywają różnorodne. Najczęściej polegają one albo na wzajemnym ściąganiu się duchowej i cielesnej sfery natury ludzkiej, albo na rozdźwięku między rozumem, wolą i uczuciem. Najsilniej zarysowuje się walka ponadczasowej i ponadprzestrzennej

Łaski z zacieśnioną do granic czasu i przestrzeni naturą ludzką w postaci i dziejach Jeremiasza.

Celem nadania silniejszego akcentu konfliktom wewnętrznym, właściwym procesowi kierowania człowieka przez łaskę boską, maluje Dobraczyński w „Dwóch stosach“ postać Husa, jako żywą antytezę nie tylko Joanny d’Arc, ale wszystkich w ogóle prawdziwie świętych wybrańców bożych.

Osobę rektora praskiego pominęliśmy przy rozpatrywaniu postaci prorockich opisywanych przez Dobraczyńskiego, bo ściśle biorąc do takich postaci ona nie należy. Nie od rzeczy będzie jednak zwrócić w zakończeniu naszych wywodów uwagę na przeciwieństwa, jakie widzi Dobraczyński między prawdziwym prorokiem Pańskim, a pseudo-prorokiem. O ile u świętych rzuca się w oczy stały konflikt między człowiekiem a Bogiem, między naturą a Łaską — konflikt, z którego oczywiście Bóg i Łaska wychodzą zawsze zwycięsko — to u Husa istnieje jeden tylko i jedyny konflikt, mianowicie konflikt z otoczeniem, które rzekomo nie rozumie jego wybraństwa bożego. O samym własnym wybraństwie bożym Hus od początku do końca jest niezłomnie przekonany. Pod tym względem w ogóle nie ma żadnych wahań, wątpliwości czy załamania. Nie ma także u Husa śladów jakiegokolwiek rozdźwięku między jego własnymi, ludzkimi planami i przewidywaniami, a planami, które uważa za plany boże. Hus robi raczej wrażenie, jakoby sam doskonale wszystkie plany boże rozumiał, jakoby on sam tylko był w nie bez reszty wtajemniczony. W postępowaniu wreszcie Husa nie ma żadnych wahań, niepewności, nawrotów; przeciwnie, linia jego postępowania w przeciwieństwie do linii postępowania prawdziwie świętych postaci wydaje się być od początku do końca logiczną, konsekwentną i jednolitą. Ale to wszystko co pozornie przemawiałoby na korzyść wybraństwa bożego mistrza z Husińca, jest — według Dobraczyńskiego — w gruncie rzeczy zaprzeczeniem tego wybraństwa. Hus nie jest żywym narzędziem w rękę Boga właśnie dlatego, że naturalna strona ludzka w nim, zamiast naginać się uciążliwie do działania nadprzyrodzonej Łaski zaraz od początku wszelkie nadprzyrodzone działanie stłumiła, sama ujmując inicjatywę w swe ręce, choć pod pozorną firmą Łaski.

Na ostatek jeszcze jedna uwaga: Można na wywody Dobraczyńskiego patrzeć się w ten czy inny sposób, można je oceniać tak czy inaczej, krytykować je lub aprobować w całości lub w części. Jakiegokolwiek jednak zajmowałby ktoś wobec nich stanowisko, musi przy

tym pamiętać zawsze o uwadze jaką zrobiliśmy już powyżej. Dobraczyński nie jest ani historykiem, ani psychologiem, lecz literatem. Jako taki nie chce on kopiować swych świętych. Jego Joanna, Jeremiasz czy Paweł to nie najświeższe wydanie kopii uzyskanych drogą żmudnych badań źródeł historycznych — ale postacie pulsujące żywą krwią, postacie-symbole zrodzone w sercu powieściopisarza, utkane z jego osobistych przeżyć, doznań i poglądów, to personifikacje religijnych wzlotów jednostek ludzkich ulegających tajemniczemu działaniu boskiej Łaski. Na tego rodzaju personifikacje musimy patrzeć nie pod kątem widzenia zwiększenia naszej teoretycznej wiedzy historycznej czy psychologicznej, ale pod kątem widzenia zwiększenia naszego własnego praktycznego samopoznania religijnego.

Kraków

KS. JÓZEF SYKULSKI

SPISEK HERODA ANTYPY NA ŻYCIE CHRYSTUSA PANA

(Łuk. 13, 31—33).

Uczniowie mieli słuszość, kiedy zwrócili uwagę Chrystusa Pana, decydującego się pójść z powrotem do Judei, aby w Betanii wskrzesić zmarłego Łazarza: „Rabbi, dopiero chcieli cię Żydzi ukamieniować, a znowu tam idziesz?” (Jan 11, 8). A determinacja Tomasza Dydymusa nie była czczą przechwałką, lecz wyrazem woli gotowej na śmierć za swego mistrza, gdy odezwał się w chwilę później do swych towarzyszy-apostołów: „Pójdźmy i my, abyśmy z nim pomarli” (Jan 11, 16). Nienawiść, jaką powzięli do Chrystusa Pana starszyzna jerozolimska, kapłani i faryzeusze, urosła już tak wysoko, że otwarcie postanowili go zabić. Teraz szło o to, aby zwać go do Judei, gdzie sanhedryn wykonywał swą władzę swobodnie; tam miano go pojmać i zasądzić na śmierć.

Stoimy prawdopodobnie w miesiącu styczniu i od paschy, której Chrystus Pan już nie miał dożyć, dzielą nas niewiele więcej dwa i pół miesiąca. Pan Jezus znajduje się w Perei, podległej Herodowi Antypie. Świadomość, że naród wybrany odrzuci ostatecznie swe wybraństwo, pograży się w niewierze i minie się z swym posłannictwem, ciśnie na usta Chrystusa Pana gorzkie prawdy i straszne groźby dla Jerozolimy i jej mieszkańców. W takiej chwili ukazują się na widowni znów wy-